ROK TRZECI.

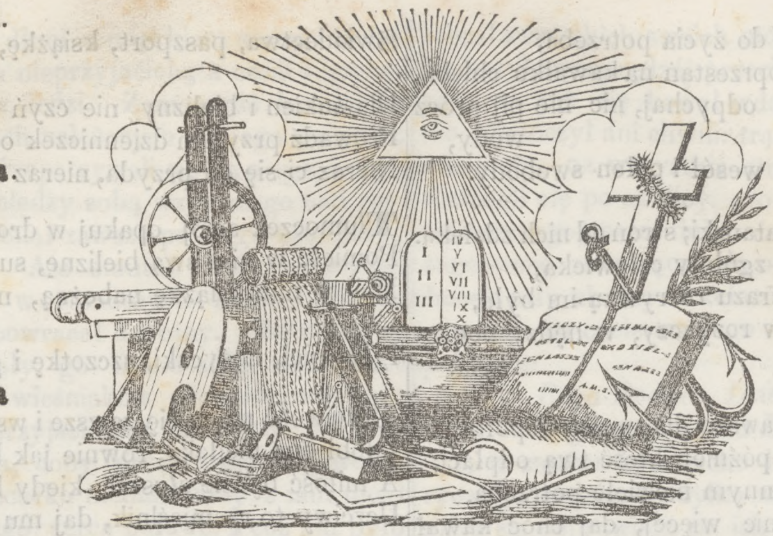
№ 11.

Warszawa.

Dnia 2 (14) marca 1858.

Niedziela

4ta Postu.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Spraw, prosimy Cię wszechmocny Panie, abyśmy, którzy za nasze uczynki słusznie trapieni jesteśmy, byli napełnieni pocieszeniem Twéj łaski. (Kollekta na Niedzielę Czwartą postu, czyli Środopostną).

Abecadło dla wędrownéj młodzieży rzemieślniczéj.

—

Adam nieposłuszeństwem że duszę swą zmazał,
Bóg go z raju wypędził i na pracę skazał;
Chcąc więc sobie dziś łaskę wyprosić u nieba,
I być nam posłusznymi i pracować trzeba.

Błogosławieństwo Boże w każdéj życia chwili,
I ciało nam pokrzepi i ducha zasili;
Więc nim rzucisz twój warsztat i progi twéj chatki,
Proś o nie twego majstra, proś ojca i matki.

Ciekawość, gdy w granicach właściwych się mieści,
Nie jest wcale naganną, owszem warta cześci;
Więc gdziekolwiekby w świat cię wędrówka poniosła,
Bądź ciekawym i badaj ulepszeń rzemiosła.

Dom majstra, w którym będziesz w wędrówce przyjęty,
Niech zawsze i we wszystkiem będzie dla cię święty,
Bo kto uczci dom cudzy, nigdy tam nie straci;
Majstra miłuj jak ojca, kolegów jak braci.

Ewangelja, najmędrsza ze wszystkich ksiąg w świecie,
Niech twoim przewodnikiem będzie moje dziecię;
Odczytuj ją z uwagą, postępuj jak każe,
A nigdy się występkiem twa dusza nie zmaże.

Fabryki i warsztaty zwiedzaj w swéj podróży,
Badaj w nich każdy szczegół, ucz, do czego służy,
Jak się towar wyrabia, i jakim sposobem,
Byś powrócił do kraju z nauki zasobem.

Gdy przyjdzie ci w podróży korzystać z gospody,
Umiej cenić te, jakie starczy ci wygody
I bądź wdzięcznym za wszystko, co z jéj strony darem,
Ale szukaj wnet pracy, by nie być ciężarem.

Handel, że w ścisłym związku z rzemiosłem zostaje,
Staraj się z nim obznajmić; badaj obyczaje
Ludów, u których będziesz przebywał w gościnie,
I przyswój sobie wszystko, z czego który słynie.

Jedz tyle tylko, ile do życia potrzeba,
W złym zaś razie poprzestań na kawałku chleba,
Trunek z wzgardą odpychaj, nic nie pij prócz wody,
A będziesz zdrów i wesół i pełen swobody.

Karty, wymysł szatański; stroń od nich zdaleka:
Niejednego już one zgubiły człowieka,
I gra dla tych, co zrazu rozrywką im była,
Wnet ich potem w rozpaczy, w nędzy pogrążyła.

Litościwym bądź zawsze dla twoich współbraci,
A Bóg prędzéj czy późniéj, litość twą odpłaci;
By zostać dobroczynnym niewiele potrzeba,
Gdy nie możesz nic więcéj, daj choć kawał chleba.

Łata na twojéj sukni niech ciebie nie wstydzi,
Mądry ci to pochwali, choć głupi wyszydzi,
Ale dziury lub plamy niech nikt nie obaczy,
Bo dziura obdartusa, plama pluchę znaczy.

Majstra tego wybieraj, co słynie z rzemiosła,
Którego biegłość, sława po świecie rozniosła;
Będąc tam, ucz się pilnie i wkładaj do pracy,
By z czasem mieli z ciebie pożytek rodacy.

Niegrzeczność, niespokojność i skłonność do zwady
Czeladzi rzemieślniczéj najbrzydsze są wady;
Unikaj więc takowych, bądź dla wszystkich grzecznym,
W rozmowie przyzwoitym, w zabawie statecznym.

Ochędóstwo, nawiększa zaleta młodego,
Gdy czystość obyczajów dołączy do tego;
Więc niech cię to nie zraża, choć suknia uboga,
By tylko była zawsze czysta i chędoga.

Pobożność, oraz praca niech ci towarzyszą,
One ciebie spokojem błogim ukołyszą;
Próżniactwo jest występkiem, pracowitość cnotą,
Więc módl się Bogu szczerze, i pracuj z ochotą.

Rozwaga jest przymiotem bardzo w życiu ważnym:
Uczy człowieka myśleć, robi go uważnym;
Czyń więc wszystko z namysłem, mając to na względzie,
Że co ściśle zważone, pewno złem nie będzie.

Świadectwa, paszport, książkę, miéj zawsze w porządku,
Dla sukien i bielizny nie czyń w tem wyjątku;
Prowadź przytem dzienniczek odbytej podróży,
Nieraz ci się on przyda, nieraz ci posłuży.

Tłumoczek swój opakuj w drogę należycie,
Pomieść w nim swą bieliznę, suknie i okrycie;
Miéj w nim książkę nabożną, mapkę i dzienniczek,
Igły, nici, nożyczki, szczotkę i grzebyczek.

Uczciwość niech cię zawsze i wszędzie odznacza;
Zdobi ona biedaka, równie jak bogacza,
A miłość będzie słyszeć, kiedy każdy powie:
Uczciwy to rzemieślnik, daj mu Boże zdrowie!

Wytrwałość niech twém godłem będzie w każdym kroku,
Zbytecznych wszakże zysków nie miéj na widoku;
Ucz się z młodu téj ważnéj rzemieślnika cnoty:
Cieszyć się mniejszym zyskiem, mieć więcéj roboty.

Zdrowie twoje zaszanuj, boć ono twą dolą,
Więc nie niszcz go rozpustą, zbytkiem i swawolą;
Pomyśl, zdrowie gdy stracisz, co się z tobą stanie?
Wlec się będziesz po świecie z torbą i w łachmanie.

Żyć, i jak żyć z ludźmi, ucz się tego wcześnie,
Żebyś nie pożałował, gdy będzie nie wcześnie;
Uczyń dobrze każdemu, z złym nie wchodź w zażyłość,
A zyskasz i szacunek i braterską miłość.

Jasiek z Nowego-Miasta
czyli
Poczciwi włościanie.

—

W obronnym zamku Nowego-Miasta w Przemyskiem, w Galicji przemieszkiwał pan możny na okolicę; a kiedy wszedłeś na najwyższą wieżę jego zamku i potoczyłeś okiem, zobaczyłeś jakby na dłoni liczne wsie rozrzucone naokoło, chatki, ogrody i kościoły; a pośród nich błyszczała modra woda rzeki Sanu. Wszystkie te wsie, chałupy i ogrody, wszystkie te lasy, doliny i góry należały do Jaśka z Nowego-Miasta. A byłto

pan o twardéj dłoni a miękkiem sercu; to też drżeli przed nim nieprzyjaciele, a czcili i kochali poddani i sąsiedzi. Zamożność kwitła we wszystkich wsiach należących do jego państwa; panowie zaś inni zapatrywali się na niego, i często w sporach między sobą wzywali go nad rozjemcę, który umiał zawsze po Bogu zakończyć każdy interes. Ale smutno było rycerzowi przemieszkiwać w samotnych komnatach, bo chociaż kiedy powracał z wojny, albo z łowów do zamku, witały go liczne sług, sąsiadów i przywiązanych wieśniaków gromady, nie było nikogo, coby przyjacielską ręką otarł pot z uznojonego czoła, coby drżąc z niecierpliwości, wybiegł naprzeciwko niemu, coby z nim mógł podzielić swojego serca połowę. I cóż mu było po tych dostatkach, jakie nagromadzone spoczywały w skarbcach, po tych licznych stadach, które widział z okien swojego zamku rozrzucone na połoninach, po tych wsiach, które się tak porozsiadały naokoło, kiedy nie miał nikogo, komuby to mógł przekazać po sobie, oprócz dalekich krewnych?

Raz powracając z polowania w licznym orszaku dworzan i przyjaciół, a na potężnych wozach wioząc upolowane dziki, niedźwiedzie i jelenie, wypadło mu przejeżdżać przez wieś Dubiecko, należącą oddawna do starożytnéj szlachty Krasickich, z których potem jeden był biskupem Warmińskim i najuczeńszym mężem swego czasu w Polsce. Niedaleko od drogi stała piękna murowana figura z wizerunkiem matki-Boskiéj, u stóp któréj zobaczył dziewczę lat 16, w niebieskim kontusiku, nieporównanéj piękności lica, strojącą świeżemi kwiatami obraz Przenajświętszéj Boga-Rodzicy. Była to panna Katarzyna Krasicka, córka dziedziców Dubieckich. Zobaczywszy ją, już serce Jaśka na zawsze się w niéj utopiło; nie odwlekał więc rzeczy na długo, a ponieważ były równe rody, w kilka tygodni Jasiek wśród zgromadzonych wieśniaków ze wszystkich jego wiosek, licznych przyjaciół i rycerzy, którzy z oddalonych nawet stron się ściągnęli, w kościele Nowego-Miasta poślubił sobie piękną Katarzynę Krasicką. Od téj chwili w starym zamku Nowego-Miasta inaczéj czas zaczął upływać rycerzowi; ale zaledwie zakosztował tego błogiego szczęścia, kiedy niespodzianie dnia jednego przyleciał na spienionym koniu posłaniec królewski z pismami do Jaśka, w których król powiadomił go i wezwał razem, żeby natychmiast zebrał wszystkich swoich mogących robić bronią i spieszył czemprędzéj przeciwko hordzie Tureckiéj, co już się kawał wdarła na Ruś. Jasiek nie odwłóczył ani chwili: trąby się natychmiast odezwały, na wszystkie strony liczni posłańcy rozbiegli się po okolicy, gromadząc ludzi i broń, tego samego jeszcze dnia, nim słońce zaszło, pożegnawszy zanoszącą się od płaczu małżonkę, Jasiek cały ubrany w żelazną zbroję, wyciągnął z zamku na czele swojego oddziału, śpiewając pobożnie:

Boga-Rodzico, Dziewico!
Bogiem sławiona Marya! i t. d.

A w zamku było cicho i pusto po odjeździe rycerzy; codziennie tylko w kaplicy zamkowej msza się odprawiała za ich powrot, a pani zamku leżąc krzyżem, błagała Boga za nimi.

Aż tu jednego wieczora łuny pokazały się w okolicy, jakieś dzikie okrzyki rozległy się około bramy, i słowa: *Tatarzy! Tatarzy!* jak piorun uderzyły o ściany zamku. Lud tłumami uciekał, chroniąc się przed napadem dziczy, pani zamku rozkazała otworzyć na rozcież dla uciekających bramy, ale napad tatarów był tak szybki, że ci razem z chroniącym się ludem wpadli na podwórzec zamkowy, a okrzyki: *Ałłach! Ałłach!* zagłuszały jęk rannych i umierających. Płomień zaświecił na najwyższej wieży zamku, potoki krwi się rozlały po dziedzińcu, jęki gdzieniegdzie się już tylko odzywały; a na drugi dzień kiedy ustąpiły ciemności i wiatr rozpędził kłęby dymu, opalone tylko zgliszcza się kurczyły i tysiące trupów zalegało podwórzec. Tatarzy ustąpili, uprowadzając z sobą młodzież i kobiety, a pomiędzy niemi panią zamku.

W kilka dni, od strony Lwowa pokazały się jakieś oddziały rycerzy; jeden z hufców galopem przeleciał ulice miasta, a na czele jego jechał rycerz z podniesioną szablą — wszyscy w nim poznali Jaśka; a kiedy przybył nad most zwodzony i zobaczył tylko zgliszcza ze swojego zamku, to boleść niezmierzona tak go ścisnęła za serce, że byłby upadł z konia, gdyby nie wstrzymała go przyjacielska ręka sługi. Kiedy zaś dowiedział się, że żona jego żyje i jest uprowadzona przez bisurmanów, postanowił natychmiast jechać choćby na koniec świata dla odszukania jéj i zapłacić choćby najznaczniejszy okup byleby ją wybawić z niewoli.

Nic więc nie mówiąc do nikogo, na drugi dzień wyjechał w towarzystwie jednego tylko służą-

cego, i przebywszy długie kraje, znalazł się nareszcie w Stambule. A kiedy się stawił przed sułtana ofiarując znaczny okup, sułtan mu rzekł:

— Oddaj mi twoję szablę.

Jasiek cisnął szablę odpasaną.

— Daj uciąć twoję rękę, to ci oddam żonę.

Jasiek z pośpiechem wyciągnął rękę.

— Nie, rzekł sułtan wzruszony tą szlachetnością, ja żądam tylko twojej szabli i twojej ręki na moję obronę; służ mi lat siedm, a wrócę ci żonę.

— Dobrze, rzekł rycerz, będę ci służył lat siedm, lecz pod tym tylko warunkiem, że nigdy mnie nie użyjesz przeciwko krwi chrześciańskiej.

Sułtan przystał, a Jasiek zaczął staczać walki z rozmaitemi hordami niewiernych, które w częstych buntach powstawały przeciwko sułtanowi, i niejednokrotnie szabla jego zarumieniła się krwią nieprzyjaciół krzyża świętego.

Wójci tymczasem wszystkich wsi należących do Jaśka i ławnicy, zebrali się do Nowego Miasta i uradzili pomiędzy sobą, że ponieważ pan ich wyjechał na odkupienie duszy chrześciańskiej, a nie zostawił nikogo, coby zarządzał majątkiem, i ztąd może być narażony na jakie straty, ich więc jest obowiązkiem zarządzać wszystkiem przez czas jego nieobecności, opłacać podatki, i gromadzić dla niego skarby. Każdy więc z wójtów zarządzał swoją gromadą; dworskie pola były tak obrobione, jak gdyby pod okiem samego Jaśka, sady uginały się pod ciężarem owoców, a ogólna skrzynia u ławnika w Nowém-Mieście napełniona była złotem. Poczciwi wieśniacy z takiem pracowali zajęciem, z taką miłością modlili się i dawali na liczne nabożeństwa, prosząc Boga o powrót swojego pana, tak mu przysparzali dobra, jakby dzieci jego rodzone. A kiedy już upłynęło lat 4 od wyjazdu Jaśka, a ten nie dawał o sobie żadnéj wiadomości, dalecy krewni zaczęli się przypytywać do majątku i chcieli gwałtem odebrać zarząd poczciwym wieśniakom, aż kiedy ci stanąwszy z kosami i siekierami, oparli się temu, wytoczyła się sprawa przed sąd—wójci stanąwszy przed sądem, mówili:

—Pan nasz pojechał ratować od wiecznego zatracenia duszę chrześciańską, Bóg takiego nie może opuścić, i jesteśmy pewni, że do nas prędzej albo później oboje państwo powrócą. A kiedy pan nie powierzył swego majątku krewnym, tylko odjeżdżając, na nas się spuścił, to już musimy tak nim rządzić, ażeby była Bogu Najwyższemu z tego cześć, a jemu pożytek jak powróci. Nie litujemy więc swoich ani starań ani pracy, jeden grosz cudzy do nas nie przylgnął i ze wszystkiego wyspowiadamy się panu naszemu. Jeżeli zaś jest taki, co wie o jego śmierci, niechaj tu stane i dowiedzie, a my odstąpimy—lecz jeżeli nie, to przez Bóg żywy nie damy marnować dobra pańskiego i staniemy w jego obronie. Sędziowie przekonawszy się, że włościanie mieniem pańskiem z największą starannością, rządzą, że i stada się liczne przychowały, że zboża pełno po gumnach, a i pieniędzy także nie mało, przysądzili im zarząd majątkiem pańskim, a poczciwe chłopki tak jak dawniej chodziły około dobra pańskiego.

Od wyjazdu Jaśka z Nowego-Miasta, upłynęło już lat siedm, a byłto właśnie dzień Przemienienia-Pańskiego—ogromne tłumy ludu zgromadzone ze wszystkich wiosek, uroczystą procesją obchodziły naokoło murów kościoła, w pokornych pieniach prosząc Boga o powrót swojego państwa. Aż tu na drodze od Samborza pokazało się dwóch podróżnych na koniach; jeden z nich był cały jakby okuty w żelazną zbroję, na twarz nawet spadała mu żelazna przyłbica, a i koń cały obleczony był w drucianną koszulkę—przy boku wisiała ogromna szabla, a na głowie unosiło się pióro strusie. Drugim podróżnym była kobieta jadąca zwolna na koniu, ale na twarz jéj spadała tak szczelna zasłona, że nikt nie mógł dopatrzeć jéj lica. Lud z uszanowaniem ustępował się przed nimi, a ciche jakieś szepty rozległy się w tłumie naokoło; a kiedy rycerz zeskoczywszy z konia i podawszy rękę zakrytéj kobiecie, padł z nią na kolana przed ukrzyżowanym Zbawicielem, i w długiej pogrążył się modlitwie, lud w jednej chwili wszystkiego się domyślił—głośne łkania odezwały się naokoło i włościanie ze wszech stron wyciągając ręce do nich, powtarzali głośno z płaczem: To nasi państwo! to nasi dobrzy państwo. Jakoż nie omyliły ich przeczucia: byłto w samej rzeczy Jasiek z Nowego-Miasta, ze swoją odzyskaną małżonką. Po nabożeństwie lud wszystek odprowadził swoich dziedziców aż na zamek, rzucając przed nich zielone gałązki i kwiaty, a wójci wiosek i ławnicy miast pospieszyli z rachunkami. Przyjął ich ze złami w oczach poczciwy pan, i wysłuchawszy dokładnego zdania

rachunków, szczerze im podziękował; po odebraniu zaś nagromadzonych przez nich skarbów, odesłał takowe OO. Trynitarzom, którzy się trudnili wykupem niewolników.

Żona jednakże jego nigdy nie zdjęła już zasłony z twarzy, i pomimo próśb męża i familii wstąpiła do zakonnic.

Więc i dziedzic Nowego-Miasta niedługo zabawiając, oddał cały majątek pod zarząd wieśniaków, a sam przywdziawszy białą suknię zakonną, i zawiesiwszy krzyż niebieski i czerwony, wstąpił do zakonu Trynitarzy i pojechał wykupywać niewolników—raz na rok tylko przybywał do Nowego-Miasta po odbiór na ten cel pieniędzy. Włościanie zaś długo rządzili jego majątkiem, a z taką poczciwością i zapobiegliwością, że do dziś dnia w tamtych stronach krąży pomiędzy ludem o tém podanie, na wieczną chlubę poczciwych wieśniaków.

Korzyści z Kassy Oszczędności.

Praca jest przeznaczeniem człowieka, przykładem czego jest sam Stworzyciel świata, który 6 dni z rzędu pracował dla zbudowania tego cudownego dzieła, a 7go dopiero odpoczął. Biada więc każdemu, co nie idzie za tym przykładem, który przypominają nam bezprzestannie dzieła Jego

Bywa, że głód zajrzy czasem do drzwi pracowitego, ale nigdy przestąpić ich nie śmie. (1)

Ale niedosyć jest pracować, potrzeba jeszcze umieć oszczędzać, dla stawienia czoła nieprzewidzianym wypadkom i zabezpieczenia swéj starości; a niedosyć jeszcze i oszczędzać, potrzeba nadto umieć oszczędności te upożytecznić. Jeżeliście naprzykład zdołali uciułać jakiś zapasik, aleście go zagrzebali na dnie waszej skrzynki, to pieniądz ten nie przyniesie wam nic. Otóż pierwsza niedogodność, do której łączy się wiele innych—i tak: będą was mieć za pieniężniejszych, aniżeli jesteście nimi w istocie i będą chcieli od was pożyczać; wtedy narobicie sobie nieprzyjaciół, i z tych, którym pożyczycie i z tych, którym nie pożyczycie. Z pierwszych, kiedy się zaczniecie upominać o zwrot, z drugich, bo ich obrazicie swoją odmową; *gdyż wierzyciele lepszą zawsze mają pamięć, aniżeli dłużnicy, i post zdaje się zawsze zbyt krótkim dla tych, co mają termin wypłaty na Wielkanoc.*

Z drugiéj znów strony mogą was okraść; trzeba wam więc bronić drobnego waszego skarbu i od złodzieja i od was samych. Tak moi przyjaciele, od was samych przedewszystkiem, gdyż snadniej wam odmówić sobie jakiéjś przyjemności, nie posiadając środków jéj zaspokojenia, jak uczynić to, czując pieniądz leżący w skrzynce. W tym ostatnim wypadku, djabeł z pomocą twej żony lub dzieci, nie przestanie cię kusić, dopóki nie postawi na swojem; *a kto kupuje, co mu nie jest koniecznem, będzie niedługo sprzedawał, co mu jest potrzebném.*

Ale zarzucicie mi może: iż jest bardzo trudne umieszczanie drobnych kwot, któremi się nie chce nikt obarczać, i że niemniej jest trudną lokacya znaczniejszych z zupełnem bezpieczeństwem. Jakże więc powierzać w ręce ludzi niezdatnych lub nieuczciwych własne dobro, składane w pocie czoła, i narażać się przez to na stratę w jednym dniu owocu wieloletniej pracy?

Podobne obawy stały się zupełnie płonnemi, od chwili ustanowienia przy Dyrekcyi Ubezpieczeń i pod jéj zarządem kassy Oszczędności, w któréj co tydzień składane być mogą przez każdego rozmaite drobne kwoty, począwszy od złotego 1 aż do 20 złotych.

Zaprowadzenie téj kassy otwiera każdemu możność przyjęcia udziału w dobrodziejstwach, jakie ona zapewnia. Niema bowiem profesyi tak niewdzięcznej, w któréjby przy rządności, oscędności, głównie zaś przy wytrwałości, nie można odłożyć kilkunastu groszy tygodniowo dla przelania ich do kassy Oszczędności; *najmniejsza bowiem ilość powtórzona często, uczyni wiele; a biedna mysz mając czas i wytrwałość, przegryzie linę okrętową.*

Tak więc nie znajdzie wyrobnika albo służącego, najmniej nawet płatnego, coby nie mógł odłożyć przynajmniej jednej dziesiątki na tydzień. Weźmy naprzykład prostą wyrobnicę najmującą się do mycia podłóg, do noszenia wody i drzewa i t. p. posług. Jakkolwiek jest to zatru-

(1) Przytaczane tu zdania wyjęte są z książeczki wydanej przez Franklina pod tytułem: *Rady poczciwego Ryszarda*, uznanej za nader pożyteczną dla wszystkich klas społeczeństwa. Niektóre rady jego zamieszczone były w 50 numerze Czytelni z r. 1856 w artykule: *Rady starego Kijonki.*

dnienie jedno z najmniej korzystnych, możnaby jednakowoż z zarobku, jaki ono nastręcza, odłożyć po 1 złotówce miesięcznie, to jest po 1nym groszu dziennie. Otóż oszczędność podobna uczyniłaby po 30 latach kwotę zł. 360, nie licząc w to procentu; a że kassa Oszczędności przylicza na korzyść każdego uczestnika, nietylko procent prosty w stosunku 4 od sta, ale nadto procent składany, to jest procent od procentu, który włącza do kapitału z upływem każdego roku; wyrobnica więc taka uciułałaby po upływie owych lat 30 kapitał, wynoszący zł. 686 gr. 24, zdolny zabezpieczyć dni jej starości: czy to zakładając stragan lub sklepik, czy też wkupując się do przytułku starców u Panny Maryi.

Okazuje się z tego, iż wyjąwszy przypadki choroby, znajdującej przytułek i pomoc w licznych szpitalach, każdego, co staje się na starość ciężarem społeczeństwa, nazwać można słusznie hultajem lub nierządnikiem; i gdyby można spisać wszystkich tych, co przyszli do najokropniejszej nędzy, już dlatego, że nie umieli oszczędzać, już też, że oszczędności swoje umieścili nierozważnie, utworzyłyby się ogromne księgi. My ograniczymy się tutaj na przytoczeniu dwóch tylko przykładów podobnej natury, jako bliżej nam wiadomych i zaszłych niedawno.

Jerzy był czeladnikiem w jednej z znaczniejszych garbarni warszawskich, a jako pilny i zręczny robotnik, zarabiał dziennie talara. Ale prowadził życie hulaszcze i wesołe, nie myśląc nigdy o jutrze; pracował zwykle tylko cztery dni w tygodniu, pozostałe trzy dni poświęcając zabawie, włócząc się po srebrnych salach, bawaryach i kręgielniach, gdzie cały pozostawiał zarobek. Skaleczony w ramię przez oberwanie się przypadkowe komina i pozbawiony możności zarobkowania, znalazł się w najkrytyczniejszem położeniu; pomoc jego towarzyszy zaradziła chwilowo jego potrzebom—ale kiedy rana pogorszać się zaczęła, a nie było czem opłacić ani doktora, ani apteki, musiał udać się do szpitala, gdzie wkrótce zmarł w sile wieku z owej rany, do której w skutek złego życia i nadużycia spirytusowych napojów przydała się gangrena, czyniąc wszelki ratunek bezowocnym. Matka jego, stara i niedołężna kobieta, którą śmierć syna pozostawiła bez żadnego wsparcia i opieki, zmarła wkrótce po nim ze zmartwienia i nędzy.

Michał znowu, pracowity i zdatny rzemieślnik z fabryki machin i odlewów żelaznych, był o tyle rządnym i zabiegłym, o ile Jerzy nim nie był; zarabiał on 8 do 10 złotych dziennie i radby był przedłużyć tydzień, który mu się zawsze zdawał za krótkim. Pomimo oszczędności, opatrywał on żonę i dzieci w konieczne potrzeby, obok tego zaś odkładał około dwóch złotych dziennie. Charakter jego, jak się to zdarza u wielu, przedstawiał uderzające sprzeczności; pragnął on naprzykład z uzbieranego kapitaliku osiągnąć jaką największą korzyść, z drugiej wszakże strony nieufność w sercu zakorzeniona, zniewalała go do zachowywania go bezowocnie przez wiele lat, dopóki wreszcie chciwość trwogi tej nie przełamała—i oto jak się to stało:

Pan Szpandau uchodził w Warszawie za bardzo zręcznego spekulanta, z chęcią więc powierzano mu rozmaite kapitały na wysoki procent. W skutek nabycia kopalni żelaza wszedł on był w stosunki z zakładem, w którym Michał pracował. W warsztatach zakładu mówiono wiele o bogactwach owego spekulanta, o świetnych interesach, jakie robił i o łatwości, z jaką przyjmował najdrobniejsze nawet kapitaliki. Michał powodowany chciwością wysokiego procentu, pospieszył do owego spekulanta, i powierzył mu 3500 złotych, stanowiących połowę kapitału zebranego wieloletnią pracą i oszczędnością, na 10 od sta, płatne z góry w ratach kwartalnych, a to pomimo odradzań żony, kobiety rozsądnéj i przezornéj.

Wierny z początku swoim zobowiązaniom pan Szpandau, płacił procent regularnie, czem nasz Michał zachęcony, oddał mu i drugą połowę swego kapitaliku, na tych samych warunkach—ale niestety! przepowiednie jego żony ziściły się wkrótce. Pan Szpandau zawiedziony w swoich spekulacyach przyszedł do bankructwa; wiadomość ta wierzycieli jego ugodziła jak piorun. Michał przy usposobieniu krwistem i gwałtownem nie potrafił przenieść tego ciosu: dostał gwałtownéj gorączki i maligny, i w jednym z jéj napadów, wyskoczył oknem z 2go piętra i zabił się na miejscu.

Żonę jego tem więcéj dotknęła ta przedwczesna śmierć, że pozostała wraz z dziećmi, bez żadnego funduszu. Za życia męża prowadzenie się jéj było przykładnem; ale zostawszy wdową w kwiecie wieku, i łącząc do tego powierzchowność nader ujmującą, trapiona z jednéj strony niedostatkiem, z drugiej zaś ponętnemi łudzona ofiarami, nie zdołała opierać się długo podwójnéj

téj próbie; a raz zeszedłszy z drogi prawości na spadzistą ścieszkę występku, nie oparła się aż na ostatnim stopniu zepsucia. Dotknięta nieuleczoną chorobą, zakończyła Michałowa dni swoje w szpitalu, w najokropniejszych męczarniach.

Z trzech jéj córeczek, najstarsza w siódmym zaledwie roku, słabe i delikatne dzieciątko, dla braku starań i opieki w chorobie, zgasła jeszcze za życia matki; dwie młodsze, wzięli do siebie litościwi sąsiedzi; los ich wszakże dzisiejszy nie jest wcale godnym zazdrości.

Takie to nieszczęście Jerzy i Michał ściągnęli na siebie i swe rodziny przez własną winę; pierwszy, iż nie słuchał mądrych przestróg swéj matki, drugi zaś rad swéj żony. Matka Jerzego nie przestawała zalecać synowi swemu zamiłowania porządku, gospodarności i konieczności oszczędzania grosza. Żona Michała ze swéj strony wyrzucała niejednokrotnie mężowi, iż pozostawiał swój kapitalik bezczynnym, zamiast złożyć go do kassy Oszczędności. Starała się nadewszystko odwieść go od owéj nieszczęsnéj pożyczki, która stała się potem przyczyną ich upadku i ruiny. Ilekroć kto, mówiła ona, pożycza pieniądze na procent niepomiarkowany, naraża na stratę swój kapitał, gdyż pożyczający jest w takim razie albo nierozsądnym albo oszustem.

Korzystajmyż zatem moi przyjaciele, z tych okropnych przestróg; mamy lekarstwo obok choroby, jest niem kassa Oszczędności, któréj widoczne korzyści będziemy się starali wykazać wam poniżéj.

Główna kassa Oszczędności w Warszawie, będąca wzorem dla innych tego rodzaju kass istniejących obecnie w 13 już znaczniejszych miastach królestwa, (1) liczyła z końcem r. z. 10,830 rozmaitych uczestników z kapitałem rs. 519,755 kop. 13½ (złp. 3,465,034. gr. 7). Spodziewamy się, iż cyfra ta dojdzie niezadługo do 30,000 a nawet do 50,000 uczestników, gdy dobrodziejstwa kassy téj lepiéj ocenionemi zostaną, czego z całego serca pragniemy.

Wy zwłaszcza, którzy zamieszkujecie miasta, posiadające tak dobroczynne kassy, posłuchajcie rady naszej. Jakiekolwiek byłoby wasze stanowisko w społeczeństwie, idźcie składać w nich wasze oszczędności, chociażby to był *grosz wdowi*. Najdrobniejsza składka, ponawiana od czasu do czasu, wzrośnie jak śniegowa lawina. Oszczędzajcie waszego grosza, a więcéj jeszcze waszego czasu, gdyż *czas jest najdroższem waszem dobrem, ten więc marnować*, jest *największem marnotrawstwem*; tembardziéj, że *czas stracony, nie da się odzyskać nigdy*. Pracujmy więc bez wytchnienia, zaczem wszystko przemawia, przedewszystkiem zaś wzgląd na nasze zdrowie i życie; w istocie bowiem, *próżniactwo jest jak rdza i więcéj daleko wyniszcza, aniżeli praca.*

Praca nietylko że jest podstawą dobrego bytu, lecz nadto jest ona źródłem wielu istotnych przyjemności, i człowiek pracowity więcéj zaiste znajduje rozkoszy w swych zajęciach, aniżeli próżniak w swej bezczynności. Najpiękniejsza zresztą pochwała, jaką można oddać pracy, zamyka się w pięknem zdaniu: *kto pracuje, modli się.* Nie marnujcie więc waszego czasu, gdyż *czas jest wątkiem, z którego snuje się życie.*

Praca, rządność, kassa Oszczędności, oto moi przyjaciele, jakiem winno być hasło tych wszystkich, którzy chcą dojść do czego; nie można albowiem umieścić pewniéj i korzystniej swych oszczędności, jak w téj kassie — bezpieczeństwo jéj jest jak najwyraźniej przez Rząd poręczone, a dom może spłonąć, rola nawet uledz zalewowi, gradobiciu lub innej klęsce pozbawiającéj ją na czas długi urodzajności. Powtarzam wam więc: *pracujmy i oszczędzajmy w pełni sił dla zabezpieczenia naszej starości.*

Zarzucicie mi może, że przyszłość nie do nas należy, że śmierć może nas zabrać wśród wykonania naszych zamiarów; a wtedy, żegnajcie oszczędności, żegnajcie wszystkie dobra tego świata. Jestto prawda, możebnem; ale jakąż będzie pociechą w godzinie śmierci myśl, iż los żon, dzieci, został tym sposobem jakkolwiek zabezpieczony od nędzy, i że te nie przestaną błogosławić twojéj pamięci i zanosić do Nieba gorących modłów, o nieśmiertelną dla ciebie nagrodę przyrzeczoną ludziom sprawiedliwym i dobroczynnym!

Śmiech i nieszczęście.

Będzie ten płakał, kto się z płaczu śmieje.

Od ulicy szerokiéj Freta ku Nowemu-miastu w Warszawie codziennie przechodzi się czło-

(1) Miastami temi są: 1. Płock, 2. Radom, 3. Lublin, 4. Suwałki, 5. Kalisz, 6. Włocławek, 7. Łódź, 8. Częstochowa, 9. Łęczyca, 10. Hrubieszów, 11. Biała, 12. Rawa i 13. Siedlce.

wiek, około czterdziestu kilku lat mający. Włosy długie gęste, jeszcze czarne aż na ramiona spadające, wąsy i broda tegoż koloru, niezwykłéj długości, twarz żółto bladawa, zapadła, oczy ciemne, gęstemi rzęsami przysłonione, brwi schodzące się, czarne, rozstrzępione, nadają jego postawie coś bolesnego, i razem strasznego; dodajmy jeszcze do tego ubranie całe czarne, skórzaną tekę zawieszoną przez ramię na pasku rzemiennym, wyładowaną, jakby się w daleką podróż wybierał, a około téj teki i na szyi pełno nawieszanych szkiełek, obrazków, świecideł, łańcuszków, i rozmowę ciągłą z sobą samym, a będziemy mieli obraz człowieka, co jest pozbawiony myśli i rozumu.

O ile mi wiadomo od tych, co go dobrze znają, co żyli z nim w przyjaznych stosunkach, człowiek ten nieszczęśliwy posiada wiele nauki; praca umysłowa wytężyła w nim wszystkie organa myśli, zwichrzyła wolę, uczyniła niezdolnym do żadnéj już pracy — to też zaledwie ranek zaświta, przystrojony codzień dziwaczniéj, przechodzi ulice i staje się pośmiewiskiem próżniaczéj gawiedzi.

Wcześniéj czy późniéj, Bóg karze tych, co się z nieszczęścia bliźnich wyśmiewają.

W wigilią Bożego Narodzenia szedł nasz nieszczęśliwy chory do kościoła Franciszkanów, a za nim niepoliczona zgraja chłopaków różnego wieku, jakby na jakie dziwowisko tłumnie biegła; przedrzeźniając i śmiejąc się w głos, wytykała go palcami, jakby winowajcę.

Bolesny był widok téj zgrai chłopaków, co nie szanując ni wieku, ni litując się nad cierpieniami w nieszczęściu, urągała z cudzéj niedoli.

Takie niezwyczajne zgromadzenie musiało jakimś promieniem pamięci błysnąć w umyśle nieszczęśliwego, bo stanął, a gdy go chłopcy okrążyli, smutnie przemówił:

Czegoż chcecie odemnie? czy wam co winienem — a mnie tak głowa bardzo boli, pali jak ogniem, serce mi coś uciska, bardzo cierpię, a wy się ze mnie śmiejecie? Tak się nie godzi, i dobywszy w tej chwili z skórzanéj teki woreczka z pieniędzmi, każdemu w koléj dawał po trzy grosze, prosząc, aby nie tamowali mu drogi, bo idzie do kościoła pomodlić się o zmniejszenie swych cierpień.

Był to głos wołającego na puszczy i zamiast współczucia, śmiech wywołał ogólny — chłopcy bezwstydni, rozłakomieni datkiem, jeszcze natarczywiéj przysuwali się do niego, i coraz większa gromada go otaczała. Byli tam uliczniki, co nie lubią żadnéj pracy, a chciwi na grosz; byli chłopcy od rzemieślników, co nienagleni do zatrudnień, samowolnie biegają po ulicach. Ta wszystka czereda kupiąc się do nieszczęśliwego, wyrywała mu prawie z rąk trzygrośniaki, płacąc mu za nie dzikim śmiechem i wołając: daj nam więcéj, to cię puścimy.

Nieszczęśliwy spojrzał na tę zgraję, wzniósł oczy do nieba, jakby błagał Wszechmocnego o litość nad sobą, i kiedy chciał iść daléj, nie puszczano go; nawet motłoch żydostwa łącząc się z tą gawiedzią próżniacką, zaczął krzyczeć, chwytać go za suknię, obracać wkoło, a jeden z chłopaków zapewne przywódzca rozpustników, mający około lat 16tu, odwróciwszy się do swych kamratów, śmiejąc się, zawołał: Czekajcie! nie puszczać go, aż mu torbę zdejmę, w niéj są pieniądze, to się obdzielimy.

Zgoda! powtórzyli wszyscy, i rozradowali się z téj chciwości na cudzą własność.

W wigilią Bożego Narodzenia, zmienne było powietrze; zrana był deszcz, a około godziny 11éj marzło i śnieg pruszył. Na miejscu, gdzie tak nacierała zgraja chłopaków na nieszczęśliwego, był lód opruszony śniegiem.

Śmiałek, co tak skwapliwie pragnął cudzego grosza, co chciał zdjąć tekę skórzaną z ramion nieszczęśliwego, uwijając się to z téj, to z owéj strony, rzucając się to w górę, to na dół, jakby skrzydła wiatraku, kiedy je wiatr gwałtowny naciska, upadł na lodzie, tuż przy nogach nieszczęśliwego, wydając okropny krzyk boleści. Upadnięcie było silne, bo nogę całkiem złamał, a co prośba i pieniądze nie pomogły, to jakby widoczna kara niebios, natychmiast zrobiła wolną drogę nieszczęśliwemu obłąkanemu, który poszedł do kościoła Franciszkanów — a zgraja chłopaków co się zeń śmiała, rozsypała się na różne strony tak szybko, jakby jéj wcale nie było.

Kaleka na nogę, ów swawolnik wzięty został do Szpitala Marcinkanek, gdzie nawet podotąd ma zostawać na kuracyi.

Na tem kończę moje opowiadanie, z dodaniem tego, co powiedział wielki nasz poeta: *Będzie ten płakał, który się z cudzego nieszczęścia śmieje.*

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 25 lutego (9 marca) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.